



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

WIOSENNE SZCZĘŚCIE.

Dzień był ciepły, pogodny, słoneczny,
Światło fałą płynęło promieni,
Z drzew czeremchy puch się sypał mleczny,
Bzy kwitnęły wśród młodej zieleni.
A dziewczyna czarem rozmarzona,
Szła pomiędzy kępy ich kwitnące,
Wyciągnęła ku górze ramiona,
Jakby złote chciała gnać słońce.
Ale ona kwiatów tylko pragnie,
I chce z krzewin liliowe rwać kęsy,
Aż ich sobie wonne masy nagnie,
Za zielone chwytając się liście.
Lecz bogactwem tem wiosny rozrzutna,
Wonnych wieńców na skronie nie plecie,
Zadumana czegoś, albo smutna,
Rzuca na wiatr oberwane kwiecie.
A rumieniec rozplamienia licą
Niszczycielki piękna bezlitosnej,
Bo któż zgadnie jaka tajemnica
Leży dla niej pod kwiatami wiosny?
Ona sobie wróżby szczęścia szuka,
Którą znaczyć ma bez nieparzysty,
Ztąd tak serce niespokojnie puka,
W tej dziewczęcej młodej piersi czyste.
A czy przecież w tej właśnie godzinie,
Już ze szczęściem nie bierze rozbratu,
Gdy je sobie maluje jedynie,
Pod postacią zjawiskową kwiatu?
Gdy ją wiosna stokroć uwesela

Prawidłowej piękności korona,
Czemu szczęścia pojęcie się wciela,
W jakąś formę wybrednie marzona?
To też warto poradzić dziewczynie,
Aby była ze szczęściem ostrożna,
Bo je w życiu łatwo się ominie,
I do grobu bez niego pójść można!...
Wtedy na skarb jedyny żywota,
Idealnych marzeń kwiat mieć trzeba,
I powiedzieć:—Szczęście to tęsknota,
Która czasem zbliżała do nieba....

NIEWIASTA POLSKA W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

III.

Pierwsza powieść polska: „Malwina czyli domysłność serca”. — Treść tego utworu. — Strona dodatnia i ujemna. — Wydania jej drukowane i tłumaczenia na obce języki.

Po tej dobie tak burzliwej, pełnej niepokoju, w której drżały serca wszystkich naszych niewiast, a ciągnęła się do 1814 roku: we dwa lata pojawia się pierwsza powieść polska, a autorką jej była kobieta z najznakomitszego rodu w kraju. Powieścią tą jest:

„Malwina czyli domysłność serca”.

Utwór ten jako stojący na czele nowej gałęzi powieściowej, która się następnie ubrała tak w bujny liść zielony jak i uroczę kwiaty, zasługuje na bliższe poznanie. Zręki to bowiem najzacniejszej kobiety, otrzymujemy ten dar drogoty, co stać musi na czele w historii literatury ojczystej, jako pierwszeństwo zwrotu w tym kierunku, tak bogatego w dalszych pracach, zarówno niewieściach jak i mężczyznach.

Zanim o autorce powiemy podamy treść tej powieści. Przypominamy czytelnikom, że od pojawienia się *Malwiny* już z górą upłynęło pół wieku, bo 58 lat okrągło: inne były pragnienia serca społeczności polskiej, inne wyobrażenia, inne wymogi duchowe, wiedza nawet, a literatura nasza dopiero co z powijaków obezryny wydobywać się zaczęła, zanim rozpoczęli nowy jej okres samodzielny i oryginalny, Kazimierz Brodziński i Adam Mickiewicz.

* * *

Malwina, z najpierwszych *familii* urodzona, czternasty rok życia kończyła, gdy rodzice umyśliли wydać ją za mąż. Zaledwie z dzieciennych lat wychodząca, nigdy się nie zastanowiła nad własną przyszłością: o szczęściu i niedoli nie marzyła jeszcze, a nie znając zupełnie świata, żadnego innego uczucia, żadnej innej myśli nie miała, oprócz przywiązania do rodziców i ślepego dla nich posłuszeństwa. Za ich wolą poślubiła jednego z bogatych panów, pana S*, który jakkolwiek dowiedział się z ust samej Malwiny, że niema żadnego do niego przywiązania, otwarcie wyznał, iż ufa że się do niego przyzwyczai, a w wypełnianiu swych obowiązków znajdzie i szczęście. Zupełny brak delikatności w tej odpowiedzi przyszłego towarzysza życia pielgrzymki ziemskiej, przejął jej serce trwogą, z nią też wstąpiła na stopnie ołtarza.

Wkrótce poślubie oboje rodzice w sędziwym wieku pomarli, a mąż zazdrośny o młodą i piękną Mal-

winę, wywiózł ją do odludnego swego zamku *Głazowa*, w zapadły kąt kraju. Wyrwana z rodzinnego gniazda, oddana samowoli dzikiego i zazdrośnego męża, zatrute miała wszystkie dnie i godziny życia. Dwa lata najsmutniejsze przepędziła w tej samotni: na szczęście pan S^z uczył się szczególnie zamilowanie do łowów, i całe dnie spędzał w kniejach lub u sąsiadów.—W szesnastym roku życia, rzucona w tak przykrą i bolesną rzeczywistość, szukała ratunku w nudach, i znalazła go w bibliotece zamkowej.

„Młoda i wielu rzeczy nieświadoma (mówi autorka) czytając z uwagą i wiele, sama siebie rzecz można wychowała. Rozum naturalny, przyjemnymi wiadomościami ozdobiła, i charakter, ledwo że nie powiem dziecinny jeszcze, w zasady pewne ustaliła: lecz przy tych rozsądnych książkach, w których tyle dobrego czerpała, Malwina i temi nie gardziła, które są skutkiem dowiecipnej i czasem nadto wybujałej imaginacji: jednym słowem, z wielką chciwością i trochę może nadto czytywała romanse. To małe zdarzenie wpływ miało poniekąd na całe jej życie, kierunek dając szczególny jej myślom i sposobowi widzenia rzeczy i sądzenia o ludziach.

„Ale cały dzień czytać nie można: to też kilka godzin w dniu na czytaniu strawiwszy, Malwina muzyką się rozrywała. Nieraz po gotyckich gankach, po obszerno-pustych salach starożytnego zamku, piękny głos się jej rozlegał. Lubiła śpiewy, łącząc głos swój z poważną organów harmonią. Żywa jej imaginacja wstecz ją zwracając, stawiała jej na pamięci świetne rycerskie czasy, lub mgliste bardów dumania. Kibic jej giętka i hoża, długie czarne warkocze, twarz łagodna, na której ni lata, ni namiętności, żadnej jeszcze kresy nie wyrzyły, ujmującym czyniły ją przedmiotem, i gdy w białą szatę odziana, po księżycu promieniu, który wąskimi dobywał się oknami, jak lekki sen po owych salach przechadzała się: postać jej jak i imię przypominały te młodociane dziewice, które niegdyś po bajecznych pałacach *Pingala* snuły się i które *Ossyan* śpiewał.

„Nie mogę jednak zataić, żeby niekiedy Malwina, rozrzuwniona muzyką, albo rozmyślając o dawnych dziejach, o rycerstwie, o walecznych tklivych rycerzach; nie westchnęła czasem, widząc się samą, zawsze samą. Ale młody wiek, wiek w którym była Malwina, ma w sobie to szczęśliwe jakieś przecucie długiej przyszłości, które mimowolnie łagodzić umie wszelkie troski i które potrafiło jej czasową uspakając tęsknotę.

Przytem nie gardziła niewiściami robotami, a ranki i wieczory poświęcała długim spacerom, pomiędzy skałami, lasami i nad brzegiem potoków, które otaczały jej siedlisko. Nieraz w tych samotnych przechadzkach dobre serce Malwiny znajdowało miłe zajęcie, gdy do ubogich chat, do niskich zagród wstępując, pocieszenie, dobry byt i zdrowie, co za tem idzie, z sobą przynosiła. Błogosławieństwo starych, dzięki młodych, uśmiech dzieci, odbierała w nagrodę i w wieczór do ponurego swego zamku z najpogodniejszym sercem wracała: (T. I, str. 28—30, Ed. IV. 1828 r.).

Czwartą już jesień w starych murach warownych *Głazowa* Malwina widziała, gdy nagle doniesiono, że maż jej, w skalistych parowach pędząc konno za dzikim zwierzem, spadł w przepaść. Przyniesiono go z lasu, lecz w kilka godzin zakończył życie.

Wolna od krepujących ją więzów, smutny rzucając *Głazów*, bolesnego jednak doznała uczucia.

„Gdy zwodzony most przejeżdżała (mówi autorka) serce się jej ścisnęło i czarne oczy wlepiwszy w tę stronę, póty na ciemny, zarosły patrzyła zamek, póki go tylko dostrzedz mogła przy zachodzącym słońcu, którego promienie bijąc w szyby, oświecało wieżyczki katowe. Malwina, choć o ćwierć mili już może, ostatnie posyłając pożegnanie, rzekła z rozrzuwnieniem: „Zegnam cię starodawny zamku, gdzieś kilka lat spokojnie spędziła: jadę do świata któregoś zupełnie nieświadoma! Zegnam się głuche, odludne siedlisko! obym nigdy nie żałowała twojej spokojności!”

Na stałe siedlisko wybrała sobie najprzyjemniejszą wieś *Krzewin*, sprowadziła ukochaną ciotkę, którą przywiozła jej siostrę młodszą *Wandę*.

Powieść swą rozpoczyna autorka obrazem dramatycznym p. t. *Piorun*.

Burza tylko co przeszła—Malwina przy towarzyszeniu na fortepianie śpiewała pieśń rzewną, gdy

zahuczały na nowo grzmoty, niebo zabałwaniło się czarnymi chmurami, a niedługo w pobliżu uderzył piorun. Zadrżały ściany dworu w *Krzewinie* i zaśmiały się razem od łuny pożaru.

Od gromu zapaliła się stodoła sędziwej Somorkowej co wykarmiła Malwinę: ta więc zarzuciwszy szal, pobiegła na wieś, nie zważając ani na pomrok nocy, ani na świszczący wicher.

Od stodoły płomienie ogarnęły kilka chat, a w jednej pozostała wnuczka Somorkowej mała Alisia, w komorze uśpiona. Na głos rozpaczliwej babki, Malwina rzuca się w płomienie: belka płonąca spadła z pułapu zagradza jej drogę, a Malwina ze wzruszenia i duszona dymem pada omdlona, zanim jednak straciła przytomność ujrzała młodzieńca, który przyskoczył do niej i wyniósł ją na świeże powietrze, sam rzucił się na powrót dla ratowania dzieciny w płonącej chacie.

Zaledwie przyszła do siebie, ujrzała znowu owego nieznanego co przyniósł jej pomoc, jak trzymając wyrwaną z płomieni małą Alisję, oddawał ją i mówił:

— Żyje i zdrowa jest zupełnie, i szczęśliwsza od innych żyć będzie pewnie by kiedyś mogła się odwdziżyć dobroczynnej swojej opiekunce!

Tym nieznanym był *Ludomir* bohater powieści. Unosząc dziecko z pożaru od spadającej krokwi na ramię, ciężką ranę poniósł: wypadało więc zaprosić do *Krzewina* szlachetnego wybawcę, itym sposobem bliższa zawiązała się znajomość.

Nie będziemy powtarzać szczegółowo scen, jakie autorka z głęboką znajomością niewiściego serca przeprowadza aż do wyznania wzajemnych uczuć pomiędzy Malwiną i *Ludomirem*. Kiedy czytelnik z zajęciem odczytuje te karty, nagle zostaje zdziwiony niespodzianym wyjazdem z *Krzewina* *Ludomira* i rozpaczliwym listem do Malwiny, z którą się żegna jakby na zawsze. Nie знаła ona prawdziwego jego nazwiska i ród jego był dla niej ciągle tajemnicą. Zawiedziona w najmiłszych dla serca swego nadziejach, zapadła w głęboki smutek. Ciotka i siostra *Wanda* postanowiły przeto, ażeby dla pokrzepienia zdrowia i rozrywki wyjechała na całą zimę do Warszawy. Przybyła zatem do stolicy księstwa Warszawskiego i pod opieką księżnej W. zaczęła zabierać znajomości z pierwszemi domami tego miasta.

U ministra wojny poznaje powabną a zalotną *hrabinę Nel*, zwaną w salonach Warszawskich *Dorydą*, i sędziwego księcia *Zdzisława Melsztyńskiego*, jednego z najbogatszych i najzaciejszych panów w kraju. Miał on w armii księstwa Warszawskiego wnuka swego już w stopniu pułkownika, którego szczególniejszemu ukochoł: tego Malwina, która na każdym zebraniu i balach zaczęła królować, na wieczorze u posła francuzkiego widzi i poznaje w nim *Ludomira z Krzewina*. — Ale ten hołdy składa swoje rozgłosnej *Dorydzie*: mając zaś zwróconą uwagę na obecność zachwycającej wszystkich Malwiny, zbliża się do niej w towarzystwie *Starościca* i zostaje jej *zaprezentowany*, jako zupełnie obcy. Obejście nawet jego znamionuje człowieka, który wita pierwszy raz widzianą i wcale sobie nieznaną osobę. — Podziw, zdumienie, boleść i miłość zraniona, na przemiany wstrząsają Malwinę: oblicze, mowa, postać, spojrzenie, wszystko przedstawia *Ludomira z Krzewina*, ale serce jej szepcze tajemnie, że to nie ten sam, co tu nosi imię księcia *Melsztyńskiego*.

Prostota opowieści odtąd się przerywa, a dalej już następuje, jakby rodzaj bajki strojnej w szaty fantastyczne. W tomie drugim dopiero następuje wyjaśnienie tej tajemnicy.

Książę *Zdzisław Melsztyński* miał jedyną córkę *Taidę*, która oddała swe serce młodemu, pełnemu odwagi i szlachetności oficerowi z armii księstwa Warszawskiego, *Ludomirowi*.

Tego książę *Zdzisław* przyjmował chętnie w swym domu, zdawał się życzyć sobie związku jego z córką, kiedy nagle zmienił zdanie, i oświadczył stanowczo swą wolę, że innego wybrał dla niej małżonka. *Taida* wiedząc że ojciec nie ustąpi od objawionej woli, skrycie ślub bierze z kochankiem i ucieka z rodzicielskiego domu. W sześć miesięcy umiera *Ludomir*, a *Taida* opuszczona, zdaleka od rodzinnego gniazda, bez przyjaciół i znajomych, spodziewając się wkrótce zostać matką, pisze ostatni list do ojca, w którym go przeproszając, błaga gorącymi słowami o błogosławieństwo, a zarazem o opiekę dla

swego przyszłego dziecięcia. List ten zawieruszony na poczie, zaledwie we dwa lata później doszedł rąk księcia *Zdzisława Melsztyńskiego*. Tymczasem *Taida* powiła bliźnięta i zaledwie usłyszała pierwszy ich płacz, jakim świat ten powitali, zakończyła życie.

Było to nad granicą turecką we wsi *Zienkowie*, opiekę nad sierotami wzięła młynarka miejscowa z mężem i starannie je chowała.—Wędrowną bandą cyganów jednego z nich, *Ludomira* (bo bliźnięta mieli imię jedno swego ojca) którego zwali *Płomieńczykiem* od znamienia na ramieniu, zabrała z sobą, a sędziwy książę *Melsztyński*, gdy się zgłosił do młynarzy w *Zienkowie*, odebrał jednego tylko wnuka, o drugim zaś porwanym zamilczeli.

Cygan *Dzega* który zabrał z sobą *Płomieńczyka*, przywiązany do dzieciny, gdy zarażliwa choroba objawiła się w ich obozowisku, w drodze podrzucił je śpiące, nad niem opiekę wzięła zamożna obywatelka ziemska *Telimen*a i stała się dla tego sieroty drugą matką.

Książę *Melsztyński* dał świetne wychowanie swemu wnukowi, który przybrał jego imię i godność rodową, i w roku 1811, gdy się powieść zaczyna, już był pułkownikiem jazdy: *Płomieńczyk* zaś bez imienia i znaczenia, wsparty pomocą szlachetnej *Telimeny*, prowadzi tułaczę życie. W *Krzewinie* poznaje Malwinę, którą pierwszą miłością ukochał i był jej wiernym stale: ta złudzona niesłychanym podobieństwem brata jego pułkownika, była gotową rękę swą mu oddać.

Kiedy w ogrodzie *Willanowa*, książę *Ludomir* na kolanach błagał ją o ostatnie słowo, usłyszała krzyk prawdziwego *Ludomira* i zgaszczając krzewów ujrzała go jak z wybladłym obliczem i smutnymi oczyma na nią spoglądającym. Padła zemdlona, nie dawszy przyrzeczenia swego.

Nadszedł rok 1812, w bitwie pod *Mohylowem*, nieznanomy prosty hułan ocala od pewnej śmierci pułkownika *Ludomira*, sam pada okryty ranami. Stary zakonnik *Ezechiel*, unosi go z pola bitwy, przywraca do życia, i wzmocnionego na siłach, stosownie do jego woli, przewożąc go na miejsce wskazane, zmuszony zostaje zatrzymać się w *Krzewinie*, bo nagle zasłabł *Ludomir Płomieńczyk*.

We dworze tutejszym już był sędziwy książę *Zdzisław Melsztyński*, i wnuk jego pułkownik jako narzeczony Malwiny. Serce tej wszakże szeptało ciągle, że to nie jest ów *Ludomir*, którego ukochała, jakkolwiek nosi toż samo imię, i tak podobny do niego.

Tu się cała tajemnica wyjaśnia, albowiem autorka sprowadza do *Krzewina* młynarkę z *Zienkowa* i cygana *Dzega*. Tak książę *Melsztyński* w miejsce jednego ma dwóch wnuków po swej jedynaczce: pułkownik widząc obojętność młodej wdowy w pięknej i wesołej rozmawiając się *Wandzi*, z nią się żeni, a *Ludomir Płomieńczyk*, z odzyskanem imieniem powiódł do ołtarza ubóstwioną Malwinę, jako swoją małżonkę.

Taka jest treść w ogólnych zarysach tej pierwszej polskiej powieści, ubogacona wielu ustępami, które wybornie koloryt właściwy tamtych czasów zachowały i wiernie postacie z tego okresu malują. Do takich ustępów należą: bytność Malwiny w Warszawie, wejście jej w grono wyższych towarzystw, zabawy i bale, a szczególniejsze też *kwesta* przed *Wielkanocą*, którą bohaterka powieści sama odbywa, zbierając datki dla biednych i opuszczonych.

Malwina wchodzi na pensję panien, a poznawszy w ochmistrzyni polskiej staranność w nauce, i kierunek właściwy, ażeby z tych młodych dziewic wykształcać: „dobre żony i tklive, a rozsądne matki” wynosi sama przekonanie, że:

„Bezpiecznie zaniechać by można zwyczaju sprowadzania z zagranicy cudzoziemek by Polki wychowywać, gdy w własnym kraju, znaleźć można niejedną osobę sposobniejszą rodaczki wychowywać, niżeli te cudzoziemki, które najczęściej z niewielkim nawet staraniem są wybierane”. (Tom I, str. 147, Ed. IV. Warszawa 1828).

Rzucenie tej samej myśli w powieści tak popularnej, przez znaną autorkę z najwyższej sfery społeczności naszej, w obec panującej przeważnie mody sprowadzania guwernantek i bon francuzkich, nie mała jest zasługa, i obudziło w wielu rodzinach zmianę pożądaną.

Układ powieści odpowiada jej tytułowi: pomimo

wszelkich zwodnych pozorów, domysłność serca, była przewodnią gwiazdą Malwiny. Cała część tego utworu, gdzie autorka prowadzi drogą prostą i naturalną tak swoich bohaterów jak i całą galerię postaci, która ich otacza, stanowi wyborne malowidło z życia pochwycone i doskonale oddane.

Jest to strona dodatnia powieści, jak znowu tajemnice i nadzwyczajne przygody Ludomira *Płomienicy* stanowią stronę ujemną.

Pomimo tych zarzutów, powieść ta, gdy się pierwszy raz pokazała w 1816 roku, w ciągu lat dwunastu dostąpiła niesłychanego na owe czasy powodzenia, bo czterech wydań: ostatnie wyszło w r. 1828 ozdobione odpowiedniami stalorytami. Najpierwsza ówczesna firma *Natana Glücksberga* księgarza i typografa uniwersytetu Warszawskiego zajęła się tą publikacją w nader starannej i ozdobnej edycji.

Wszystkie cztery wydania *Malwiny* wyszły w Warszawie we dwóch tomikach 1816, 1817, 1821 i ostatnie poprawne 1828 r. Tłumaczenie tego romansu po francuzku dokonane przez Annę z Krajewskich Nakwaską wyszło w Warszawie 1817, drugi raz w Paryżu 1822, rosyjskie w Moskwie 1834 r.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORIA

O JANASZU KORCZAKU

I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNIE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Słońce zachodziło za wzgórza opasujące dolinę. — Ku mieścinie u stóp zameczku położonej z dwu stron przeciwnych zdążyło dwóch jeźdźców, wzajem się zdala przypatrując sobie.

Jeden z nich chłop ogromny, na silnym koniu, okrytym potem i pianą, jechał zwolna. Dwa silne, bure charty wołoskie w ślad za nim biegły. Odziały był z kozacka, w małej czapcece barankowej na głowie, w siwym żupaniku, skórzanym paskiem ściągniętym, w długich butach, a bat miał przez plecy przewieszony. Twarz czerwona, płamista — odrażająca była. Najeżony wąs ryży jeszcze jej dzikszego dodawał wyrazu. Małe oczki czarne, niespokojne, siedzące głęboko, oceniały brwi najeżone. Usta obwisłe, spękane od gorąca czy niezdrovia, wyglądały jak poranione. Choć ubogo na pozór, wyglądał, lecz dumę i samowolę czuć w nim było jakby zwycięzkiego rozbójnika.

Z drugiej strony na silnej szkapie z jukami w trokach, dążył burka z ramiona nieco zsuniętą okryty, chłop, zdrowy, silny, wesołej twarzy, poświśtując piosenkę; pospolite rysy, opalona skóra, zaniedbane włosy, sam ubiór okazywał sługę lub posłańca.... możnego domu...

Rozglądał się jadąc ciekawie bardzo i nie spiesząc podążał do miasteczka. Wjechawszy tu stanął przed karczmą, wywołał żyda i o coś go zapytawszy, zwolna drogą ku zamkowi ruszył. Zobaczywszy to pozostały za nim jeździec z chartami, konia ścisnął i dogoniwszy jadącego, zwrócił się ku niemu namarszczony, pytając z ruska.

A dokąd to?

Zagadnięty popatrzył.

— A wam co do tego? odparł.

Zacerwieniła się twarz rudego i ręką w bok się ujął.

— Ale! krzyknął — już ciż do tego, boście na moim gruncie...

— Nieprawda — rzekł drugi...

Wzdrygnął się rudy i musiał konia mimowolnie pociśnąć nogami, bo przed nim skoczył, za co go ściągnął bez litości bizunem i osadził.

— Kto wy? wrzasnął na głos... jak śmiecie!...

— Nie gorącejcie się, zawołał śmiejąc się posłańiec.

— Ja tu pan!

— Nieprawda! powtórzył drugi.

Oczy rudemu krwią zabiegły...

— Mów coś za jeden...

— Ja tu na drodze z wami rozmowu prowadzić nie potrzebuję — rzekł spokojnie zagadnięty.

— Chcecie wiedzieć com za jeden, jedźcie za mną na zamek, powie wam Postarosci...

— Jaki Podstarości?

— Ponoś jakiś Dorszak.... niedbale dodał podrożny.

Na chwilę zamilkł rudy...

— No, to ja jestem podstarości Dorszak...

Jeździec odwrócił się, uśmiechnął, czapkę zdjął... i nie powiedział nic.

— Co to jest? w jaką to grę z sobą gramy? podchwycił Dorszak...

— W żadną — rzekł drugi — jadę do pana z listem od Jaśnie Wielmożnego Miecznika.

Słowa te zmieszały nieco pana Dorszaka, na pozór się uspokoił i złagodniał.

— Także gadajcie! zawołał — ja — ja tu pan jestem z ręki Miecznika. — U nas się ludzi luźnych włóczy dosyć, porządku pilnować muszę.

— Toć nie mówię nic — rzekł posłańiec — alem was nie znał.

— Jedźcie za mną do zamku...

To mówiąc obejrzał się na flegmatycznego posła Dorszaka, na charty, które się w miasteczku rozporządzać zaczynały, świsnął i klusem pojechał przodem.

Drugi koniowi też dał ostrogą i w milczeniu ruszył za nim.

Na miasteczku scena ta krótka już była ludzi z domostw wywabiła... Żydzi stali przed karczmami, chłopak jakiś wyszorował się w rynek i chart go był już potarmosił, gdy podstarości nań świsnął. Czapki i jarmułki po drodze uchylały się i ludzie kłaniali nisko. Od miasteczka droga nieco pod górę prowadziła na zameczek. Trzeba było przebywać chwiejący się i lichy most, który pod końmi trząsł się cały, naostatek furta sklepioną wjechali w podwórze.

Tu, jak wprzód na charty, Dorszak przeraźliwie świsnął — i z pod szopki wyskoczył chłop w koszuli zgrabnej i wyrostek w świcie krótkiej, którzy konia wzięli. Zsiadał też już i posłańiec powoli, na przód nieco koniowi popuszczając popregi. Dopiero gdy tego dopełnił, a zobaczył przed sobą podstarościę, stojącego z oznakami niecierpliwego oczekiwania, nie mówiąc począł dobywać z za sukni zawinięty w chustę starannie papier, który panu Dorszakowi wręczył.

— Chodźcie za mną do zamku, to się tam w izbie na dole rozgościecie — odozwwał się Podstarości.

— Dziękuję panu — odparł posłany, ale naprzód o koniu i jukach pomyśleć muszę.

Na to nic nie odpowiedział Podstarości i ku zamkowi poszedł szybko. Mrok padał, a w podwórzu murami osłoniętym ciemnowo się robić zaczynało. — Posłańiec wdał się w rozmowę z parobkiem troszcząc o konia. Sam zdjął powoli juki, siódła jednak rzucić nie dozwolił — dopóki by szkap nie wypoczęła.

Podstarości minawszy dół, po kamiennych wschodach szybko wszedł na piętro, a charty za nim pobiegły...

We drzwiach stała nań oczekując kobieta... Spojrzawszy na nią łatwo było poznać typ wschodni.

Srednich lat, niegdyś zapewne piękna bardzo, brunetka z oczyma czarnymi, z brwiami obfitemi, rzymskiego nosa, ust kształtnych, zdawała się zestarzała przedwcześnie, znużoną, chmurną, ale wyraz energii wielki przetrwał w całej fizyonomii. — Głowę bujnemi okrytą włosami, które się z pod jedwabnej chustki wymykały rozrzucone, niosła dumnie do góry. Miała na sobie odzież białą, a na niej z tureckiej materyi obszerny kaftan. Ciekawemi oczyma nie mówiąc, zmierzyla wchodzącego i list, który trzymał w ręku.

Jakby się domyślał, że ją we drzwiach znajdzie, podniósł głowę także, ale się nie pozdrowili nawet. Spotkawszy jego wejrzenie, kobieta odeszła zostawiając drzwi otwarte. Izba, do której wszedł za nią Dorszak, była obszerna, a za nią ukazywały się dalsze, dziwnymi zastawione sprzętami, pomiędzy którymi tureckie kufry, sofy i niskie stoły odbijały od starych krzeseł i szaf ciemnych.

Kobieta założywszy ręce na piersi padła na niskie siedzenie. Dorszak wchodził zamyślony.

— Głodny jestem jak pies... i psy też głodne być muszą — odezwał się złamanym językiem rusko-polskim...

— Zaraz ci jeść dadzą — obojętnie odpowiedziała kobieta i podniósłszy głos zawołała — Tatiano!

Nierychło wtoczyła się kobieta opasła w bardzo zaniedbanym stroju i potoczyła oczyma.

— Jeś! krzyknął Dorszak, siadając za stół, i światła — a prędzej.

Rozłamał był już pieczęć i niecierpliwie usiłował czytać, ale mrok nie dopuszczał; list rzucił na stół.

— Miecznik człowieka z listem przysłał, mruknął, co mu tam do głowy przyszło, on sobie zawsze myśli, że jest tu panem. Ha! ha!

— A któż? odezwała się kobieta.

Dorszak się rozśmiał i w piersi palcem stuknął.

— Któż, jeśli nie ja! Kto tu żyje nastawia tyle lat, aby się w tej dziurze ukrywać? Zje kata, jeśli mi ja z rąk nazad wydrze.

Kobieta ramionami ruszyła.

— Jak mi raz dał tu wleść, niewykurzy mnie tak łatwo — mówił, nie zważając, jakby do siebie, Dorszak. Zechce to mu tam z listem co zapłacić... alem nie darmo pracował, aby drudzy korzystali. Gdzie człowiek lat tyle siedzi i haruje, to sobie własność przecież musiał wysiedzieć.

Czego on odemnie chce...

Kobieta patrzyła na mówiącego, jakby z politowaniem, ale nie mówiła już nic.

W tej chwili wniosła kobieta świecę i postawiła ją na stole; Dorszak porwał list, począł go czytać, brwi mu się ściagały, plunął i rzucił go znowu na stół — począł chodząc — potem wziął pismo, aby je raz jeszcze odczytać i powtórnie cisnął niem od siebie, ręce w kieszenie włożył, przechadzał się chmurny.

— Ale tego, tom się i niespodziewał — zawołał nagle stając przed kobietą, wszak to Miecznikowa z całym dworem jedzie do Gródka.

Począł się śmiać.

— Dalipan, zabawna historia! Herod baba... Zdaje im się, że wszystkich Tatarów zabrał z sobą Kara Mustafa! i że tu jak u Boga za piecem siedzieć można!

Zobaczemy...

— Ale ja ich tu mieć nie chcę — dodał — i prędko wykurzę, aż im ochota od zaglądania w moje gospodarstwo odpadnie...

Kobieta słuchała milcząca, podparła się na rękę i patrzyła w okno, jak gdyby dawno wiedziała, że z nim ani się pocziwie rozmówić, ani go opamiętać nie potrafi.

Im dłużej chodził i myślał Dorszak, tem zdawał się mocniej obruszać i gniewem płonąć. Ruchy jego gwałtowne i cała postać przekonywały, że się powstrzymuje tylko, aby nie wybuchnąć.

W tem kobieta wniosła ręcznik, misę i miskę. Dorszak spojrzął tylko i rzucił się za stół, a psy z obu stron siadły, patrząc na niego. Nim począł jeść, dostał z szafki flaszkę, wypił kieliszek i postawił ją przed sobą. Skutkiem poruszenia i napoju, twarz mu cała się zaogniła... Straszny był — kobieta ilekroć nań spojrzała, odwracała oczy ze wstrętem...

— A ty jadłaś? spytał kobiety zwracając oczy na nią.

— Nie głodnam, rzekła — trudno było czekać dzień cały...

Urwała natychmiast rozmowę.

— Dziś cię znowu twoja chandra, widzę, napadła? rzekł Dorszak.

— Takam ja dziś jak byłam wczoraj — odparła krótko.

— Człowiek do domu się przywlecze i niema do kogo gęby otworzyć, ani z kim pogadać pocziwie!

Kobieta ruszyła ramionami i zmilczała. Dorszak, jakby dalej rozmowy prowadzić nie chciał, podniósł głowę ku drzwiom i począł wołać:

— Tatiana!

W progu ukazała się kobieta.

— Kumys! krzyknął...

— Tataru z ciebie zrobili — szepnęła siedząca na poduszkach — i nietylko do kumysu ale i do ich obycajów nawykłeś.

Jakby nie słyszał tej wymówki Dorszak, siedział zamyślony — kobieta przyniosła wysoką szklankę

z białawym napojem, który wychylił cheiwy, wasy otarł i dopiero po odejściu sługi, poczał jakby sam do siebie:

— A czemu nie mam być Tatarem! mają oni rozum. Bujają w stepie, pracować nie potrzebują.

Żyją w swobodzie i Murzy ich bogatsze od nas... Mało to oni łupów nabiorą...

— I to się wam życiem do zazdrości wydaje, taka pogańska włóczęga... poczęła kobieta...

— Co ty, babo, znasz! co ty rozumiesz! krzyknął Dorszak—siedziałabyś cicho! Mnie ty będziesz rozumnu uczyła, co złe a co dobre? wiem ja i bez ciebie, o radę cię pytać nie będę.

— Toż to i bieda—westchnęła siedząca... inaczej byś żył, gdybyś mnie słuchał i byłoby błogosławieństwo Boże w domu...

Dorszak się śmiał.

— Już ja te litanie znam... do cerkwi z niemi! do cerkwi! ja tego nie potrzebuję.

Skończył jeść, parę ochłapów rzucił psom, które się o nie poczęły z sobą ujadać, kopnął nogą jednego i odszedłszy parę kroków rzucił się też na siedzenie, ale opodał od kobiety. Na niskim stoliku leżał sztyt złotem worek i długi cybuch stał przy nim.

Nałożył fajkę i kurzyć poczał, nogi założywszy po turecku...

— Hej, babo—kaw! zawołał—a żywo...

Słowa te stosowały się do kobiety siedzącej, która ani ruszyła się, ani zdawała uważać na nie. Po chwili dopiero zawołała na Tatiane...

Ta już wedle obyczaju niosła blaszany imbryk i małe findzaneczki, które postawiła na stoliku przed panem. Dorszak nalał sobie czarnego płynu i chwycił go pożądlwie.

Milczenie panowało przez chwilę — kobieta zdawała się jakby uspioną, a charty chrapały znużone na podłodze. Dorszak, który patrzył zrazu beznamiętnie przed siebie, powoli oczy na kobietę obrócił i długo się przypatrywał siedzącej.

Brwi mu się coraz bardziej marszczyły.

— Słuchaj ty, Agafio! zawołał — długo my tak z sobą jak pies z kotem żyć będziemy?

— Dopóki pies albo kot nie zdechnie — rzekła powoli.

— Psu się nie chce zdychać — rozśmiał się Dorszak dźwigając szerokie ramiona, psu się jeszcze życie śmieje, a kot też, chwała Bogu, zdrów.

Czasby mieć rozum.

— To prawda—rzekła kobieta.

— Nie mnie ale wam, przerwał wybuchając mężczyzną.—Co ci to złe? zbywa ci na czym?

— Wołałabym nędzę—odparła kobieta. Myślisz że mi ten twój chleb smakuje, co go mi codziennie poryjesz popiołem? Czy ja nie wiem zkad się twe mienie bierze i jak na nie zarabiasz?

Dorszak się zerwał z siedzenia.

— Jak? jak? mów! krzyknął podnosząc cybuch.

— Nie trzeba mówić, spokojnie oczu na niego nie zwracając, odezwała się kobieta — wiesz ty co te twoje mienie znaczy i zkad płynie.

Mruczał coś niezrozumiałego gryząc cybuch Dorszak, ale się pomiarkował i zmilczał.

— Chcesz mieć spokój? dodała kobieta — ja chętnie do rodziców powrócę, ino puść.

— Żona z mężem żyć powinna—słyszysz—zawołał Dorszak.

— Dawnobys się mnie pozbył—odrzucała kobieta, gdyby nie to, że się po mnie spodziewasz posagu, na któryś cheiwy.

— A pewnie, bo mi się należy za to, żeś sobie taką kwoką świat związał—poczał Dorszak. Diabeł cię wiedział, gdyś młodo i pięknie wyglądała, że mi życie zatrujesz! Myślałem, że biorę potulne i posłuszne stworzenie, a gałąz ostu dostałem. Jam nie takiej potrzebował kobiety za żonę, a tyś była na mniskę stworzona.

Kobieta nie odpowiadała już, zanurzona w myślach, cisnęła białe ręce, aż słyhać było jak w stawach trzaskają. Głowę opuściła na piersi, nie widząc było też, ale się ich łatwo mógł domysleć Dorszak, który dziko na nią spoglądał.

— Ot to moje śniadanie i obiad i wieczerza,—rzekł—człek do domu powraca jak do piekła!

Twarz mu zapaliła się, podniósł cybuch, zdawało się że uderzy siedzącą kobietę, która drgnęła tylko, ale wnet odwróciła się, zmierzyla go oczyma straszniemi, ręka jej sięgnęła do pasa pod suknię.

Dorszak znać zrozumiał ten ruch i cofnął się. Sycał przez zęby.

— Zmija—gadzi! —

— Raz w życiu sięgnął na mnie rękę, odezwała się kobieta drżącym głosem — naówczas nie spodziewałam się, aby mężczyzna śmiało się targnąć na żonę... a i tu jeden raz odpłaciłam ci jak byłeś go-dzien. Od tej chwili bez noża nie stąpię, tknij mnie a zginiesz. Wiesz, żeś silna i że się ciebie nie boję. Zmierzyli się oczyma. Dorszak po głowie potarł ręką drżącą.

— E! gdyby nie twój ojciec! gdyby nie matka!

— Gdyby nie posag!—szydersko wtrąciła Agafia.

— Dałbym ci ja, siedziałabyś pod kluczem zamknięta jak pies na łańcuchu.

— E, gdyby nie Bóg, nie sumienie, Pawle, dawnobys nie żył, a ja bym była wolna, odpowiedziała kobieta, której oczy pały.

Podszeł się rodziców mianując się panem na Gródku, a kto wówczas wiedział, żeś rozbójnik.

— Milczcie!—krzyknął Dorszak—milczcie—dosyć tego, baby nikt nie przegada, a no zobaczemy na końcu, kto tu kogo zmoże.

Rozśmiała się Agafia.

Za progiem słyhać było stapanie ciężkie. Dorszak się odwrócił. Powoli odchyliły się drzwi i posłaniec Mierzejewicki rozglądając się ciekawie, stanął w progu.

— Niech będzie pochwalony—rzekł.

Dorszak coś mruknął, kobieta podniosła się i odpowiedziała cicho—na wieki.

— Czego chcecie?—spytał podstarości.

— A no, by nie zawadziło pogadać — rzekł odchrząkując dworak, który śmiało się rozglądał. Nasza jasna pani wysłała mnie przodem, aby tu wszystko było w pogotowiu.

Chmura osłoniła twarz Dorszaka.

— Cóż ja tu im w pogotowiu mam stawiać? — zawołał gburowato. W pogotowiu! kukurudzę „mamalygę“, w tej pustce, w tej ruinie! Co im do głowy przyszło tu wlażyć, a biedy szukać.

— To nie moja rzecz—rzekł dworak—rozmówicie się o tem z jasnie panią jak przyjadą. Mnie kazano mieszkanie oczyścić, miejsce na konie opatrzyć, obroki i chleby dla ludzi nagotować.

Dorszak się śmiał szydersko.

— A wiele was tam jest?—spytał.

Dworak się zamyślił. — A no, do dwudziestki się zbierze.

Zdziwienie odmalowało się w twarzy podstarościego.

— Aż tyle!

— A juści! — rzekł dworak. Pani nasza, panna, pan Janasz, kapelan, dworsey, masztalerze, posługa, hajduki, węgrzynek.

— To się chyba samemu wynosić dla nich i koczować pod namiotem — zawołał Dorszak i poczał przechadzać się zamyślony.

— Jasnie pani mówili mi, aby na drugim podwórku starą wieżę dla niej wyporządzili—odezwał się dworak.

— Pustka, sowy w niej mieszkają—rzekł podstarości.

— Toć sowy wypędzić się da, a choćby co więcej niż sowy—dodał naiwnie posłaniec.

W podstaroście zaszła znać jakaś zmiana wewnętrzna, powoli opamiętywał się, stygł i łagodniał.

— Toć dziś noc—odezwał się—idźcie spocząć na dole, pogadamy. Bywajcie zdrowi.

— Posłaniec popatrzał na Dorszaka, na kobietę — i wyszedł.

Podstarości gdy go z oczów stracił, mrucząc coś sam do siebie, chodząc poczał szparko po izbie. Stawał, biegał i ani spostrzegł jak Agafia powstawszy z siedzenia, powolnym krokiem wysunęła się do drugiej izby. Kilka razy z flaszczyki sobie nalewał, pił i chodząc myślał. Świeca dogasała w mosiężnym lichtarzu... Zrzucił z siebie odzież, poprawił skórzane poduszki na sofie, i na pół rozebrany rzucił się spocząć. Wkrótce zagasło światło i fajka tylko, którą palił, chwilami czerwonym blaskiem rozjaśniała nieco kątek, gdzie Dorszak spoczywał.

W dziedzińcu słyhać było stróżów grzechotki i charty chrapały na podłodze. Po nad bramą ukazał się księżyc z za chmur i zajął bladym promieniem do izby...

Dworski z Mierzejewic, którego dobrze wybrano i opatrzone przestrogi na drogę, nie bardzo ich potrzebował. Z całej czeladzi pana miecznika był to najroztropniejszy i najprzebiegłszy, zimnej krwi, mężnawspokojnego, siły wielkiej człek, do państwa przywiązany, bo w domu ich zrosły sierota. Zwano go Nikitą Jedynakiem. Przydomek dostał mu się w dzieciństwie. Rodziców nie znał, a mało o nich co i we dworze wiedzano. Chował się na folwarku, potem przy panu, a że łatwo wszystko pojmo-wał i uczył się każdej rzeczy, coraz go do ważniejszych posług używano. Nie jeden raz samowtór po kilka tysięcy talarów woził w baryłkach i listy takie, które chować było trzeba, a pilnować ich jak oka w głowie.

Z obozem miecznika i na wojnie bywał, a o ludzi się różnych ocierał.

Z pierwszych słów Dorszaka poznał, a choć wieczorem na zamek zajeżdżał, już przechadzając się opatrzył cały, już z ludźmi potrosze i jakby niechęć się rozgadał. Wreszcie, gdy mu na dole ładajaki barłóg wskazano, juki swoje złożywszy w izbie, choć już noc nadechodziła, powłókł się na miasteczko do karczmy. Instynkt prostego człowieka uczył go, że się trzeba było o zamku nie na zamku dowiadywać. Kilka lichych karczem stało przy rynku pustym. Do jednej z nich poszedł Nikita.

Widzieli go już żydzi, gdy na zamek jechał, a czegoś się domyslałi, gość w tym kącie był rzadki. Gdy do izby wszedł, a zobaczono go, poczęli się doń cisnąć żydzi. Chciano go częstować wódką, ale tej Nikita nie pił, znalazło się wino kwaśne i tego kazał sobie postawić, aby mieć przy czem siedzieć. W niskiej izbie dosyć obszernej, z małemi okienkami, nikogo już z miasteczka nie było, rodzina tylko żydowska liczna bardzo, wychodziła krążąc około przybysza i przypatrując mu się ciekawie. Z tym, który grał rolę gospodarza, średniego wieku mężczyzną, rozmówić się było trudno, takiego języka używał. Dopiero w kwadrans dobry zwłókł się stary, z siwą brodą o kiju żyd w czapce wysokiej, który aż do stołu podszełszy, mileząco poczał Nikicie się przypatrywać. Od słowa do słowa przyszło do rozmowy.

Cały rozum w tem był, aby nie wiele mówić, dowiedzieć się jak najwięcej. Z początku oba pono zarówno zamiar ten mieli, ale stary zgłodził na ludzi i dał się za język wyciągnąć.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KOLONISTA W IRLANDYI

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

Pawła Heise

przekład z niemieckiego.

O s o b y:

Jakub Bodenmesser, bogaty kmieć, kolonista ze Szwabii

Elżbieta, jego żona

Hanna, ich córka

Adam Schweitzer, młody kolonista

James Hennessey

Janek Czerwony

Patryk

Murphy

Podróżny Francuz

Wójt

Chirurg

Porucznik angielski

Koloniści niemieccy, grajkowie.

Rzecz dzieje się w 1820 r. w Irlandyi, w hrabstwie Limerick, przy ujściu rzeki Shannon.

AKT I.

(Plac ocieniony drzewami, w głębi chruszczany płot z furtką. Po za płotem rozległy krajobraz wiejski, w oddali góry i ruiny starego zamku. Na przodzie sceny z prawej strony gospoda, w której słychać muzykę; kobza góralska i skrzypce grają powolnego walcu na trzy tempa. Przez furtkę w płocie wchodzi Jakub Bodenmesser z żoną i córką, wszyscy w narodowym ubraniu szwabskim, zaraz za nimi nadchodzi podróżny. W czasie sceny mężczyźni i kobiety w ubiorze kolonistów nadchodzą, i przez plac udają się do gospody).

PODRÓŻNY *(zbliżając się do Bodenmessera)*

Witam was przyjacielu. Niezmiernie rad jestem, że za pierwszym razem krokiem na ziemię irlandzką, tak miły spotykam widok. Pięknie tu jest i ludzie świętują wesoło. Zapewne przyjacielu jesteście gospodarzem z wioski... z wioski... *(zagląda do małych notysek z mapką)* z wioski Carrick-o-Gunnel?

BODENMESSER

Jestem Jakub Bodenmesser, kmięć z wioski, którą widać tam dołem na lewo, ale nie z Carrick-o-Gunnel. Wioski Carrick-o-Gunnel już niema od dawna.

PODRÓŻNY

Jest tu przecież w moim przewodniku wyraźnie wydrukowane: ujście rzeki Shannon, wioska Carrick-o-Gunnel....

BODENMESSER

Było tak przed laty i to stare gniazdo tam wysoko, tak się jeszcze zowie. Ale my nie mieszkamy w takiej wiosce. Nasza wieś nazywa się Falz....

PODRÓŻNY

Falz, Falz... *(poprawia ołówkiem w notyskach)*. Błędnie zostało wydrukowane.

BODENMESSER

Ze starej jakiejś mapy. Ja i ci ludzie, których tam widzi Wasza Dostojność, są z wioski Falz, która już od kilku dziesiątek lat wzniosła się na miejscu dawnych bud, które zwano Carrick-o-Gunnel. Jesteśmy wszyscy koloniści ze Szwabii i takeśmy sobie na pamiątkę ojczystego kraju wieś naszą nazwali.

PODRÓŻNY

Zatem wy przyjacielu i ten tam lud nie jesteście miejscowi?

BODENMESSER

Jakto nie miejscowi? Jesteśmy miejscowi panie podróżny, kilkadziesiąt już lat siedzimy tu na tym gruncie, orzemy go i obsiewamy, a za łaską Boską żyjemy z tego co się zbierze. Ale pochodzimy z nad Renu, ze Szwabii. Ja tu małym dziecieniem przypłynąłem z rodzicami, którzy oddawna leżą w tujszej ziemi. Sam się już zestarzałem, mam nie tylko żonę i dzieci, ale miałbym i wnuki po synie, tylko wszystko już nie żyje. To moja żona i córka tam poszły do gospody, zabawić się w niedzielę po pracy. Słyszysz pan muzykę?... Szwabski walc... stary szwabski walc....

PODRÓŻNY

A... gra go przecież i kobza irlandzka.

BODENMESSER

A tak, bo są to irlandcy grajkowie... Nie źle grają, a dobrze jest gdy się młodzież ucieszy zabawi. My starzy pracujemy panie twardo. Ziemia tu nie-

obiecana i trzeba ją dobrze znojem podlać, aby rodziła. Ale nam rodzi; umiemy pracować należycie, po szwabsku. Tam nad Renem w naszym ojczystym kraju, tam podobno grunt tłusty i piękny, wino się rodzi. Ale ludzi już za wielka kupa i naszym ojcom ciasno być musiało, kiedy chcieli jechać za morze. Irlandcy lordowie, wielkie pany, pisali listy, że dadzą dość ziemi i wolnego miejsca, byle tylko przybyć i zagnieździć się tutaj dla służby Bożej między ludem bałwochwalczym, to jest chciałem powiedzieć rzymskiej wiary. Ale może pan katolik?

PODRÓŻNY

Tak... trochę...

BODENMESSER

Jak to trochę? Trochę pan wierzy w to, a trochę w co innego? My tu nie tak panie....

PODRÓŻNY *(z pomieszczeniem)*

Zatem przyjacielu, ojcowie wasi przybywszy zbudowali wioskę Falz?

BODENMESSER

Porządnie zbudowali wedle swego obyczaju, domy z ganeczka, w opłotkach. Mamy swój kościół, swego księdza i wójta. Panowie dotrzymali słowa; dali ładny kawał ziemi przy ujściu rzeki, łąki piękne, wody i pastwiska dość, na podgórzu grunt orny. Tylko w jednej rzeczy nie mogło się stać jak sobie wtedy wrócono. Trudno człowiekowi zapominać z kąd się wziął... Ma się szwabską krew w żyłach i jest się Szwabem. Trudna rada... Jak ogień z wodą, tak nasi z Irlandczykami nie miesza się nigdy. Nie może nigdy być....

PODRÓŻNY

Lud ten irlandzki ubogi... Prawda? Ma być bardzo ubogi.

BODENMESSER

Jużcie nie bogaty, ale też licha wart. Leniwce, ziemi uprawiać nie umieją. Tak na dudziarzy, to właśnie... Lekki lud panie, próżniaki i zbójce. Człowieka aż mrowie bierze, kiedy na tę starą rudę w górę spojrzysz.

PODRÓŻNY

Malownicze gruzi....

BODENMESSER

Bodaj się zapadły!... Sępie gniazdo. Czy pan tam nie masz wydrukowanego, że to zbójcecka jaskinia? Nie słyszałeś pan nie o *białych chłopcach*?

PODRÓŻNY

O *białych chłopcach*... *(patrzy bystro w twarz kolonisty)*.

BODENMESSER

Irlandkie zbójce! Przez nich człowiek nigdy spokoju mieć nie może. Zamiast ucieszyć się pracować i cicho siedzieć, roją się jak pszczoły podkurzone, krzyczą, awanturują i zbójceckie rzemiosło prowadzą. Nasi nie mało przez nich uciarlieli i jeszcze cierpią. Dawniej stawiali naszym zęb za zęb, a teraz w łyzce wody by ich potopili za to, że mamy co jeść i w czym chodzić, gdy oni żebraki i najemniki, włóczęgi i złodzieje.

PODRÓŻNY

Nieszczęśliwi....

BODENMESSER

Pan pewno malarz i przyjechał tutaj stare ruiny malować, ale mybyśmy panie dawno je zburzyli, gdyby się dało tylko. Są tam jaskinie podziemne i lochy, Bóg wie gdzie wiodące, do rzeki podobno.

Tam się kryją zbiegi wszystkie z całego Limeryku, aby gwałty i bezprawia szerzyć. Nie jeden taki nawet, co spokojnie w dzień siedzi i niby pracuje, w nocy do zbójów się skrytymi ścieżkami przebiega i jest zbójem. Niech spokojnego człowieka na drodze spotka, pchnie nożem jak nie i trupa obdrze. Dowodzą potem pięknie, że to ich grunt i oni, nie zaś my, na nim gospodarze. A czemu nie gospodarowali spokojnie? O panie podróżny... lichy to kraj i ciężko tu żyć porządному ojcu dzieciom, coby chciał spokojnie Pana Boga chwalić, i swoje parę zagonów uprawiać....

PODRÓŻNY

Smutne historie przyjacielu, bardzo smutne.... U nas piszą, że z tym ludem biednym, bogaci źle wychodzą. Naturalnie nie wy zacy gospodarzu, ale panowie... wielcy panowie irlandcy... O zysk im tylko idzie i wyganiają biedaków, odbierają grunt, aby—z przeproszeniem was—oddać go obcym.

BODENMESSER *(zamyśla się)*

Jest w tem niby prawda, ale dlaczego są pijacy i leniwce, awanturniki? Nasi porządnie czynsz z gruntu płacą i są ucieszeni ludzie: pracują skoro ich Pan Bóg do pracy stworzył i niczem innem głowy sobie nie bałamuca. Czemuż oni tak nie mogą? Czemuż są niespokojni i gwałtowni? Pan powiedział: — „Jam jest sędzią twój!“ A oni chcą sobie sądy i kary przywłaszczać, i stają się zbójcecką szajką i krew ludzka jest na nich. Pan się od takich odwraca i w nędzę ich podaje, w upadek....

PODRÓŻNY

Zgadłeś szanowny przyjacielu że jest malarz i dlatego tu przybył, aby dzikie, romantyczne okolice tutejsze malować. Gdzie myślisz najlepiej obrać sobie miejsce pobytu i dostać służącego?

BODENMESSER

Służącego!... Między naszymi panie nie ma niko, coby tak luźno chodził i na robotę czekał, z tamtych zaś czybyś pan chciał takiego sługi, coby ci się nocą jak kot z domu wymykał, a rano mył ręce z krwi kradzionej owcy — a może zabitego człowieka!

PODRÓŻNY

Smutne historie.... powtarzam—bardzo smutne.... Jużem tu w okolicy spotkał skotarzy, którzy paśli trzody nad rzeką i nająłem jednego, aby rzeczy zamną poniość. Niejaki Patryk... Jego towarzyszył zwał się Janek Czerwony.

BODENMESSER

A panie! to łotry są i złodzieje. Już im to z oczu widać, i każdy im z drogi schodzi. Ale są inni: o są... nie lepsi, tylko wilki w baranich skórach. Dumnie ci w oczy patrzą i na ucieszywych wyglądają, a nieucieszywość jak rzemiosło prowadzą....

PODRÓŻNY

Nie dobrze was rozumiem panie gospodarzu.

BODENMESSER

Powiem Waszej Dostojności bez ogródki. Są wódze złodziei, choć sami niby nie złodzieje. Pan obcy i ostrzedz się godzi, abyś nie popadł w kłopot. Jest tu niejaki James Hennesey, który na starych budach na podgórzu mieszka.... Niebezpieczny człowiek: ludzie w całej okolicy wiedzą, że to głowa wszystkich burzycieli.

PODRÓŻNY *(notuje sobie nazwisko)*

Dziękuję przyjacielu, dziękuję.

ELŻBIETA *(we drzwiach gospody)*

Jakubie! pan wójt na ciebie czeka. Chce się rozmówić, bo już wraca do domu.

BODENMESSER

O... zaraz idę Lizbet... zaraz idę... Czy pan nie pozwoli na odpoczynek do gospody? Jest nas tam cała gmina, a ręczę że wszystko ucieszą ludzie. Ręce czyste... pracują od rana do nocy, Pan to widzi z góry i błogosławi...

PODRÓŻNY

Dziękuję przyjacielu, na inny raz. Chcę się rozejrzeć do koła, szkice robić. (Bodenmesser odchodzi, podróżny zwraca się ku stronie górskiego krajobrazu i przez szkło patrzy; w tej chwili na bocznej ścieżce od lewej strony ukazuje się James Hennessey, wysoki, piękny młodzieniec. Ubiór irlandzki, nuci irlandzką melodię.

PODRÓŻNY

A... ten widać nie kolonista. (podechodzi ku niemu do furtki). Przyjacielu, proszę o słowo jedno... Czy przypadkiem nie mógłbym się dowiedzieć o pewnym Jamesie Hennessey?

JAMES HENNESSEY

To ja jestem. Czego pan żąda?

PODRÓŻNY

Przybywam zdaleka, chcę poznać kraj. Jestem poeta, literat, jestem Francuz.... Chciałbym objaśnić. Dażyłem do wioski Carrick-o-Gunnel, ale powiedziano mi, że się mylę—że takiej wioski nie ma.

JAMES HENNESSEY (*żywo i dumnie*)

Jest... ja w niej mieszkam. Jest na podgórzu, tam na lewo po za kolonią niemiecką.

PODRÓŻNY

Po za wioską Falz.

JAMES (*z naciskiem*)

Po za kolonią niemiecką. Wieś Carrick-o-Gunnel podupadła, ale może się podnieść. Mam nadzieję. Ludzie się uczą pracować i dlatego mogą pań śmiało powiedzieć, w hrabstwie Limerick, nad ujściem rzeki Shanon leży u podnóża gór wioska Carrick-o-Gunnel. Stare to jest sioło, panie, stare... Tam wysoko na skałach sterczą ruiny dawnego zamku.

PODRÓŻNY (*z uśmiechem*)

Wiem już coś o nim... wiem. Powiedziano mi że jest tam gniazdo dzikich ptaków: sępów czy orłów. Chciałbym właśnie objaśnić pod tym względem, i dlatego szukałem cię przyjacielu. Powiedziano mi: udaj się do Jamesa Hennessey...

JAMES (*żywo*)

Kto to panu powiedział? Ale w tej chwili nie mam czasu na rozmowy i objaśnienia... Dziś niedziela, święto...

PODRÓŻNY

A przyjacielu, jam tu z taką gorącą sympatią w sercu przybywał. Przyjeżdżam aż z Paryża. Jestem wszystkim ciekawy i wszystko poznać pragnący. Chcę zasłyszeć coś pewnego o *białych chłopcach*.

JAMES (*cofając się w tył*)

A co panu do nich? To biedny, nieszczęśliwy lud, który nie ma albo dachu nad głową, albo spokoju w sercu. Nie ciekawe są jego sprawy, ani jego nędza...

PODRÓŻNY

Przyjacielu. Mnie powiedziano jednak, że jesteś tych spraw świadomy...

JAMES (*poważnie*)

Powiem panu słowo prawdy szczerze. Czy dziwną byłoby rzeczą, gdybyś pan był świadomy spraw swego brata? Otóż ja podobnie mogę być świadom nie jednej ze spraw tutejszych, które jednak nie mogą mieć żadnego interesu dla pana. Są to przytem domowe sprawy panie, o których nie mówi się z obcymi. Żegnaj Waszą Dostojność.

PODRÓŻNY (*zatrzymując go*)

Jeszcze słówko.... Mnie przytem powiedziano rzecz więcej znaczącą. Powiedziano mi, że James Hennessey jest...

JAMES (*ze smutną ironią*)

Jest przewodcą *białych chłopców*, albo jak panu mówiono zapewne, jest hersztem zbójckiej bandy, która się zowie *białymi chłopcami*. Powiedziano tak niewątpliwie... Otóż panu, który jesteś cudzoziemcem, a wynurzasz się z sympatjami dla nas, odpowiem otwarcie. Nie jestem ani wodzem, ani nawet jednym z tych, którzy to smutne miano noszą, a to dlatego przedewszystkiem, że jestem jedynym synem mego rodu, jedynym dzieckiem u starej, siwej, niewidomej matki, i mam jeszcze jedną wielką robotę na myśli. Powiedziałem panu, że starożytna wieś Carrick-o-Gunnel istnieje, a chcąc aby istniała, muszę pracować na utrzymanie ostatniej chaty, która jeszcze stoi na swoim miejscu. Dzierżawię ze starą moją matką grunt, z którego czynsz trzeba regularnie płać właścicielowi, aby natychmiast nie przysłał komornika i pacholków, którzy z chaty wypędzają, zrywają z niej dach, a gdy stare ściany wywracają się wtedy od wiatru i śloty, ziemia albo się zapuszcza jak w pustyni na pastwisko dla owiec, dobry zysk z cienkiej swej wełny przynoszących, albo się oddaje rozradzającemu się potomstwu tych przybyszów, którzy wzniesli sobie zagrody poniżej, zbudowali swój kościół, obrali swego wójta, zagarnęli sprawy gminy całej, i powiedzieli panu, że nie ma już Carrick-o-Gunnel na ziemi, że jak nazwisko człowieka który umarł, miano to zostało wykreślone z ksiąg kraju tutejszego. Wiesz pan teraz dlaczego nie mogę być tem, czem mnie pan błędnie mianował. Rozumiesz już pan jak widzę, wierzysz... Więc dobrze: jeżeli pan zostaniesz dłużej w tych stronach, to dowiesz się niewątpliwie, że James Hennessey, da czasem słowo rady i przestrogi, któremu z braci biednej, jak się to nieraz czyni dla ludzi, co nieuważnie obchodzą się z iskrą ognia wśród rozrzuconej słomy, albo pociemku idą drogą przepaści. Dowiesz się pan tego, ale nie więcej... nic... W każdym razie mówię panu ze szczerego serca, abys niepotrzebnie ciekawym nie był.... Po co masz pan mieć wodę i tak mętną, o! zmacną bardzo... zmacną w sposób okrutny...

PODRÓŻNY

Nie chcę ci być dłużej natrętnym przyjacielu. Napiszę w podróznym pamiętniku moim, że wioska Carrick-o-Gunnel istnieje, że mieszka w niej szlachetny, zany młodzian. Do zobaczenia. (Podaje mu rękę).

JAMES (*chłodno*)

Do zobaczenia Waszej Dostojności.

(Podróżny odchodzi).

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika naukowego, artystycznego i społecznego ruchu kobiet.

Jak w przeszłym numerze kroniki widzieliśmy kobiety angielskie, stowarzyszone do czynów dobroczynności szlachetnej, tak stowarzyszają się one podobnie do działalności we wszelkich kierunkach in-

nych, i oto londyńskie pismo peryodyczne „Labour News“ donosi, że „Artystyczne stowarzyszenie kobiet“ urządziło tej zimy w Londynie wystawę artystycznej produkcji kobiecej. Wystawa miała miejsce w lokalu stowarzyszenia przy Marlborough-Street. Obecnie pod kierunkiem tegoż stowarzyszenia otwartą została przy ulicy Sloanne-Street, szkoła kunstownego haftu. Angielki przecież usiłują krzewić sztukę nie tylko w celach zarobkowych, i oto w ostatnich czasach robotnice londyńskie utworzyły między sobą stowarzyszenie muzyki wokalne „Choral Union“ dla rozveselenia ciężko pracowitego życia, jakie wiodą.

Jest to fakt pociesającego znaczeniu, dowodzi bowiem, że muzyka, którą postęp edukacji ludowej usiłuje wprowadzić w niższe warstwy ludności, zaczyna tam działać w sposób szczęśliwy, zaczyna wydawać owoce, takie właśnie, jakie sztuka rodzić powinna. Starac się więc o nią trzeba dla klas pracujących sercem całym, a tam—jak wszędzie—kobieta najwięcej na kierunku podobnym skorzystać może.

Ważnym przyczynkiem do rozwoju artystycznego wykształcenia kobiety jest „Kobieca artystyczna szkoła“ (Weibliche Kunstschule) w Monachium, która obecnie tak szczęśliwie zakres swój rozszerza, że porównać ją można z paryżką „Szkołą rysunku dla kobiet“ i podobnym zakładem londyńskim przy Kensington Museum. Założona w 1868 roku, powstała z dobroczynnych starań kilku pań zanych, które zaczynając bardzo skromnie, zapragnęły wspomóc przemysłową pracę kobiet niezamożnych, dając do niej środki nowe, pracę tę ułatwiając. Przedsięwzięto kształcić uczennice w rysunku, gruntośnie i systematycznie nauczonym, licząc na to, aby następnie znajdowały sobie zajęcie przy retuszowaniu fotografii, oraz jako rysowniczkę wzorów do fabryk tkackich, i wzorów do ręcznych robót kobiecych. Znaczna suma pieniędzy którą król Bawarski wspomógł przedsięwzięcie, pozwoliła odrazu dać szkole znaczenie szersze i liczba 30 uczennic w chwili otwarcia zapisanych, wzrosła w ciągu roku podwójnie a wzrost ten byłby zwiększał się ciągle, gdyby nie wojna, której wybuch musiał wstrzymać rozwój dobrodziejstwa pokojowych. Przecież szkoła rozwijając się szczęśliwie w latach następnych musiała i ramy nauczania swego rozszerzyć: litografia i drzeworytnictwo zostało w program jej włączone, zwrócono przytem uwagę, że kobieta posiadająca wyżej niż męczyzna rozwinięty zmysł barwy, koloru, powinna nawet w celach przemysłowych obeznać się z tajemnicą malowania. Wyrób kwiatów sztucznych, kolorowe drukowanie tkanin, i tem podobne zastosowania farb w przemysły przemówiły za nauką malowania, która również weszła w plan szkoły. Uczennice zaczęły przybywać nie tylko z Niemiec północnych, ale nawet z innych krajów Europy, nawet z Ameryki i wtedy szkoła uczuła potrzebę pewnego przeistoczenia. Lokal, pomoce naukowe, liczba nauczających, całe wreszcie urządzenie szkoły musiało zostać na wyższą stopę podniesione, a prócz darów tak prywatnych, jak ze strony muncypalności miasta czynionych, państwo dało szkole 6,000 florenów rocznej subwencji, przyczem sejm krajowy-Landtag—wyraził życzenie, aby „Artystyczna Szkoła kobieca“ wpłynęła na to estetyczne wyrobienie smaku publicznego, przez który głównie naród sąsiedni (Francja) doszedł do tak wzbogacającego rozwoju w sztukach i przemyśle. Od tego rocznych feryi szkoła Monachijska wchodzi w liczbę szkół publicznych, narodowych i sądzić trzeba, że program jej rozszerzy się jeszcze. Dotychczas ograniczał się on na nauce rysunku z wzorów, na modelowaniu, grawiowaniu, malowania na drzewie, kamieniu, porcelanie, na drzeworytnictwie, retuszowaniu, snycerstwie; obecnie doda uczennicom swoim naukę rysunku z modeli gipsowych i malarstwo właściwe. Ministerium oświecenia zapewniło przytem szkole rzecz wielkiego znaczenia: odznaczające się uczennice, w których objawiłoby się wyższe artystyczne obdarowanie i chęć poświęcenia się sztuce właściwej, mieć będą wstęp do Monachijskiej akademii sztuk pięknych. Zatem każdy talent kobiety w tym kierunku ma sobie zapewnioną przyszłość przez dobrze obmyślane środki kształcenia i otwartą drogę do najwyższych już dziedzin sztuki. Stopniowanie, jakie kobieta przechodzić tu musi, nie jest bynajmniej krepującym i szkodliwym, bo wchodząca do szkoły już wyższą—do akademii—będzie miała

zasadnioną świadomość sił swoich. Ustrzeże to od wielu pomyłek bolesnych, które w obecnej chwili, częstami być by mogły, kobieta bowiem w poszukiwaniu nowych dróg pracy, ulega w bardzo znacznej liczbie pewnemu podnieceniu gorączkowemu, które musi mieć zawsze miejsce w chwili wyrabiania się pojęć nowych. Ogół je chwytą, ale znaczna część najwięcej interesowanych, najmniej je rozumie. Chciałyby szybko stanąć u celu, który się powoli zdobywa, szukając pracy chciałyby obejść zasadnicze tej pracy warunki: wytrwałość w zdobywaniu sobie środków, gruntowne do zawodu swego uzdolnienie. Szczególniej ma to miejsce w kierunkach, gdzie liczyby się chciało na zdolności wrodzone — talent, natchnienie. Redakcyje pism wiedzą dobrze, jakie mnóstwo literackich prac kobiecych, zawała bióra redaktorskie, choć nie, żadne wyrobienie myśli, a nawet często prosta znajomość języka nie usprawiedliwia tych chęci wkraczania na pole działalności literackiej. Jest to rwanie się niecierpliwie do jakiegoś stanowiska, któremu nie dało się podstaw uzdolnienia odpowiedniego, jest to płocha zarozumiałość złączona przeciw z niedoświadczeniem. Trzeba się zmierzyć z pracą, aby wiedzieć co to jest trud pracowniczy, trzeba spróbować zbierania ziarenek, aby pojąć w jaki to sposób miara się napęnia. U nas wprawdzie ruch pracy kobiecej jest zaledwie w zaczątkach i kobieta, widząc wśród ekonomicznych przemian społeczeństwa pracy tej potrzebę, zaczyna się dopiero myśleć o niej niepokoić, zaczyna jej poszukiwać, najczęściej niepełną, w którą stronę zwrócić jej się należy. To, co o pracy kobiecej dochodzi nas z zagranicy, nie może być naśladowaniem niewolniczo, bo każdy kraj ma swoje właściwości ekonomiczne, które w rachunek brać potrzeba. We Francji na przykład, gdzie przemysł ozdobny, galanteryjny, w najwyższym znajduje się rozwoju, wielka liczba kobiet znajduje korzystne zajęcie w pracy takiej, która potrzebuje przeważnie artystycznego obznajmienia z ołówkiem, pędzlem, dłutem. W Niemczech już stosunek jest inny i choć taka szkoła artystyczna, jak w Monachium, jest tam, jak i wszędzie, w każdym kraju potrzebna, Niemniej ludzie dobrej woli, rozwój pracy kobiecej studiujący, zwracają uwagę publiczną, do jakiego mianowicie stopnia Niemka w tym kierunku pracy zysk zarobkowy znaleźć może. Właśnie w maju roku zeszłego, niemieckie pismo „Dresdener Anzeiger“ ogłosiło bardzo ważny artykuł nie żyjącego już dziś autora von Zahn: *O rysunku jako zarobkowej pracy kobiecej*, w którym wykazuje, że zwrot kobiet do ukształcenia się w tym kierunku, wymaga pewnego zastanowienia się strony interesowanej. Mnóstwo młodych panienklas zamożniejszych rzuciło się do tego, co pisarz niemiecki wybornie nazywa „Dilettantenarbeit“ i stało to tak modą uczyć się zarobkowej pracy, jak dawniej było modą na popis pracowitości w szytych w krosnach dywany. Tym paniom wolno się bawić jak im się podoba, bo te zawsze bawić się będą, ale autor zwraca słusznie uwagę, że szum jaki koło pewnych gałęzi pracy wyrabia moda, pociąga mimowoli i takie, co pracy rzeczywiście potrzebują i los swój przyszły na niej oprzeć pragną. Dla tych to pisze autor, te to ostrzega, że wykształcenie w kierunku artystyczno-przemysłowym nie może być ani pośpieszne, ani łatwe, więc potrzebuje kosztowniejszego już nakładu tak pieniędzy jak pracy, na koniec pewnego wrodzonego obdarowania, talentu, którego brak nie da się nigdy zastąpić, bo wtedy pracująca nigdy się tak w zawodzie swym nie wykształci, aby odpowiednie wydatkom pracy swojej wynagrodzenie otrzymała. W przemysle artystycznym te zajęcia głównie są popłatne, i te tylko stały zarobek dać mogą, dla których właśnie wyżej wymienione warunki przeszkody do odpowiedniego uzdolnienia nie stanowią. Autor obszernie i gruntownie rzecz swoją wyłożywszy, zakończy praktycznym rzeczy objaśnieniem. Zarobkowa praca kobiet na rysunku oparta, znajduje w Niemczech pięć zastosowań:

1) Rysowanie wzorów dla fabryk tkackich. Rysowanie proste przez patrony nie wymaga długiej nauki, przynosi tygodniowo od 1 do 2 talarów. Rysowanie w połączeniu z umiejętnym rysunkiem przynosi od 6 do 8 talarów tygodniowo. Zajęcie to znaleźć można jedynie przy większych zakładach fabrycznych. Tworzenie nowych wzorów do takich fabryk wymaga już wyższego artystycznego gustu

i kilkoletniej praktyki poprzedniej. Tu zysk już wzrasta wiele wyżej i jest kwestyą talentu. Rysowanie wzorów do ręcznej pracy kobiecej ma mniej więcej te same warunki.

2) Retuszowanie fotografii. Łatwiejsza i pośledniejsza praca w tym zawodzie przynosi 3 talary tygodniowo. Osoba dobrze uzdolniona w rysowaniu głów, może mieć tygodniowo do 10 tal. Pracując usilnie przy zakładzie na wielką skalę, zdolna pracownica może mieć rocznie 500 talarów.

3) Drzeworytnictwo wymaga tak znajomości rysunku, jak wprawy w delikatne dłutowanie drzewa. W lipskiej szkole drzeworytnictwa żądają za naukę 100 talarów i czas jej na lat cztery rozkładają. Zarobek jest potem od 4 do 12 talarów tygodniowo. Jakkolwiek drzeworytnictwo nazywają sztuką kobiecą, w Niemczech bardzo mało kobiet uzdolniło się należyte.

4) Litografia w dziale swoim „pisma litograficznego“ grawiowania, zdaje się być pracą zatrudniającą dla sił kobiety. Rysunek litograficzny wymaga rocznej nauki, następnie przy zdolności można zarabiać od 3 do 4 talarów tygodniowo. Po kilkuletniej wprawie i wyższym uzdolnieniu, można dojść do podwojonego zarobku.

5) Malowanie na porcelanie wymaga takiego uzdolnienia w malarstwie, które jest już sztuką i malowaniem właściwym. Niższe uzdolnienie tylko dla celów fachowych nie jest trudne, lecz wtedy zarobek wynosi od 2 do 4 talarów tygodniowo. Zajęcie można tylko znaleźć na miejscu, to jest w zakładzie fabrycznym. W pierwszorzędnym fabrykach uzdolniona malarka może mieć zysk wysoki. Talent tu rozstrzyga.

Autor opuścił jeszcze w przemysłowym zastosowaniu rysunku, fabrykację obić ściennych i rolet, które przeciw przemysł niemiecki posiada. Malowanie na drzewie i kości przy wyrobie wachlarzy i sprzętów kunsztownych nie wiem czy ma takie zastosowanie swoje w Niemczech, jak we Francji? autor nie wymienia przeciw tej gałęzi zarobku, przypuścić zatem trzeba, że bardzo nie wielka liczba pracowników zajęcia tu znaleźćby mogła. Udoskonalony wyrób kwiatów wymaga też nauki rysunku i początków malowania.

Większa część wskazówek autora niemieckiego ma i dla naszej pracy kobiecej wartość praktyczną. Przedewszystkiem pamiętać trzeba na tę jego przestrożę, że kto na rysunku chce oprzeć przyszłą pracę fachową, powinien mieć w tym kierunku zdolność pewną. Drugą kwestyą, która się z kolei nasuwa, jest pytanie, jakim następnie może być zarobek już uzdolniony? Przy dotychczasowym rozwoju naszego przemysłu sądzićby trzeba, że malowanie na szkle i porcelanie bardzo małe zastosowanie mieć może. Rysowanie wzorów do fabryk tkackich także ograniczony może mieć zakres i tylko do kilku fabrycznych miast naszych ścieśnić go trzeba.

Z ARYSY AZYI ŚRODKOWEJ

(Przez N. Karazina).

(Dalszy ciąg.)

Cóż to za rozkoszna kraina dla wyklętych przez Mahometa zwierząt i jakież mnóstwo ich gnieździ się tutaj w tych bezludnych dolinach! Młode zarosła trzciny, gniazda wodnych ptaków, niezliczone płazy, wszystko to służy dzikom za obfitą i pożądaną strawą. Najniebezpieczniejszy wróg wszystkich zwierząt, człowiek, tutaj powodowany religijnym uprzedzeniem, pozostawia w spokoju dziki, gdyż nie dotknąłby za nie ich smacznego mięsika i odwraca się od niego ze wstrętem. Poprzednio Chińczycy polowali często na dzikie świny, lecz już oddawna synowie Niebieskiego Państwa odeszli daleko na wschód wygnani przez muzułmańskich koczowników. Wielkie i krepie wilki (kaskyr w narzeczu Kirgizów), których dosyć tutaj się znajduje, duszą

często młode prosięta; często też w okolicach sitowiem porośłych rozlega się przerażające, bolesne jęczenie, mordowanych tych zwierząt. Pomimo tego jednak, płodność tego gatunku nie pozwala mu zmniejszyć się lub wyginać. Mają tutaj dziki jeszcze jednego wroga w tygrysie, lecz ten nadzwyczaj rzadko zjawia się w tych stronach. Daleko bardziej na południe w stronie Tian-Szangu dosyć często spotyka się ten zwierz krwiożerczy; w okolicach zaś któreśmy właśnie przebywali zaledwo dwa lub trzy razy do roku; zabłąka się zuchwały napastnik. Spoczywa zwykle w sitowiu, położywszy na przednich łapach straszny pysk, z przymrużeniami jak gdyby śpiącymi ślepiami i zaledwie porusza od czasu do czasu wyciągniętym ogonem. W tej pozycji leżąc podpatruje albo zupełnie spokojną rodzinę dzików, lub też lękliwego jelenia, który ostrożnie, zaledwie dotykając kopytami ziemi zbliża się do źródła wody.

Zmrok nastawał, gdyśmy w bród przebyli na półzamarzłą rzekę Tup i zbliżyli się prawie do samego brzegu Isyk-Kula. Nadzieja nasza że zdołamy przed nocą dotrzeć do Dżyrgały, zniknęła. Natknęliśmy się na niewielkie zimowe legowisko Kara-Kirgizów, leżące o wiorst dwie od lewego brzegu rzeki Tup i postanowiliśmy spędzić tutaj noc, nie ośmielając się dalszej przebywać drogi w ciemnościach nadzwyczaj szybko zalegających ziemię.

Zimowa siedziba Kirgizów składała się z sześciu obszernych baraków, ze zrobionej z trzciny zagrody dla koni, z pustego placu dość czysto utrzymanego przed wejściami do baraków i w ogólności nosiła na sobie pozór względnej zamożności. Pod tym względem wielce się różniła od legowiska Kałmyków.

Nie wesoła chwila przyjechalśmy do tego niewielkiego aułu. Już zdaleka doleciało do nas echo pieśni żalobnej i płaczu smętnego. Zbliżywszy się wyraźnie mogliśmy już odróżnić jęki niewiast, głośną mowę mężczyzn i jednym tonem wygłaszane, jak gdyby dyaka, czytanie. Trafiliśmy na pogrzeb którego obrzędy rozpoczęły się na dwie godziny przed naszym przybyciem. Spostrzegłszy nas, Kirgizy wstrzymali żalobną ceremonię, lecz nie na długo. — Na dwieście kroków od najbliższego baraku Bajtak poprosił mnie, ażebym pozostał na miejscu, a sam zszedł z konia i poszedł pieszo do aułu. Niedługo rozmawiał z Kirgizami. Natychmiast dwóch ludzi w podeszły już wieku zbliżyło się do mnie, uprzejmie pomagając mi zejść z konia, wzięło cugle z rąk i dobrodusznie się uśmiechając, zaprosiło mnie do najlepszego baraku, w którym widocznie mieszkać musiał naczelnik aułu.

Barak, do którego weszliśmy był obszernym i zbudowanym w regularny kwadrat. Nowy biały wołok wysyty w różne wzory pasami sukienkami, okrywał framugi okien, podłoga także nim wysłana była; bliżej ku ścianom rozciągały się jasno-kolorowe dywaniki. Pośrodku w zagłębieniu zrobionem w podłodze żarzyły się węgle i na trójnożnym okrągłym ruszcie stał płaski okopcony kocioł, pokryty kawałkiem dosyć czystego płótna. Po ścianach na cienkich nemykach wisiały różne sprzęty domowe, drewniana bandurka, taka sama, jakiej używają w Rosyi i dosyć pięknie wyrobiona szabla kirgizka; prócz tej ostatniej nie dostrzegłem w baraku żadnej innej broni.

Zaledwie podszedłem ku wejściu, gdy na moje spotkanie wyszedł wysoki i dosyć jeszcze młody Kirgiz w szlafroku z wielbłądziej sierści i w czerwonej, futrem lisim podbitej czapce, którą złoty sznupek okalał. Był to naczelnik aułu, Mirze Ałajar zajmujący dosyć wysokie stanowisko między swoimi, jak to sam wnet mi oświadczył. Zostawał on podwładzą Ablaja-bija Dżyrgalińskiego.

Powiedział mi, że goście Ablaja-bija (Bajtak widocznie zdołał go już zawiadomić o celu naszej podróży), zawsze przyjaźnie przez niego będą przyjęci, otrzymają przytułek i tyle ile sami zechcą baraniny. Wyrzucił mi nadzieję swą, iż taki dostojny gość, jakim ja jestem, zapewne nie pogardzi noclegiem w jego chacie, aby jutro po nabraniu świeżych sił przedstawić się arcymądremu i arcyszlachetnemu Ablaj-bijowi. Z mojej strony oświadczyłem Kirgizowi, iż uważam za zaszczyt dla siebie przyjęcie jego gościnności i bardzo chętnie zabieram znajomość z takim dobrym człowiekiem, jakim jest mirza Ałajar,

o którym tyle pochował słyshałem w mieście Wier-nem od władz rossyjskich. Ostatnie wypowiedzie-nie przezemnie zdanie widocznie spodobało się Kir-gizowi. Poprosił mnie następnie, ażebym swobo-dnie rozgościł się w jego baraku, gdyż on musi iść jeszcze do sąsiedniej chaty, gdzie zebrał się naród na pogrzeb starca i bardzo dobrego człowieka. Ałaj-jar powiedział mi nawet nazwisko nieboszczyka, bardzo długie i trudne do spamiętania. To też od-dawna wyszło mi ono już z głowy. Po upływie pię-ciu minut płacze i jęki znów głośno się rozległy.

Odpocząwszy trochę i poprawiwszy ubranie po-szedłem także oddać ostatnią posługę nieboszczyko-wi. Uczyniłem to głównie dla zobaczenia co też się tam dzieje. Za mojem przybyciem tłum rozsta-pił się i ja zgławszy się wszedłem do baraku. Stra-szliwie duszna atmosfera panowała wewnątrz, po-mimo że powietrze wchodziło przez górny otwór. Kobiety młode i stare, niektóre bardzo piękne, ota-czały nieboszczyka i smutnym głosem czytały jakąś niezrozumiałą modlitwę. Chwilowo milkły, a po-tem nagle znów jak gdyby za danym sygnałem całym chórem jęczeć zaczynały, bijąc się w pierw-rękami i rzucając się całym ciałem na wsze strony. Mirz Ałajar znajdował się także tutaj, a spostrzegł-szy mnie uśmiechnął się, kiwnął głową, jak gdyby mówiąc: „i pan tu przyszedłeś, to dobrze”.

Na niewielkiem podługowatym wzniesieniu leżał trup długi, chudy i pokryty cały wraz z głową bia-łym sukniem, z pod którego widocznie zarysowywa-ły się wystające formy ciała. Między kobietami krążyły dzieci, pechając się i kłócąc między sobą, a około ścian poważnie siedzieli mężczyźni, podając sobie z rąk do rąk zrobioną z dyni w miedziane ozdoby przystrojoną kaliurę, czyli machinę tytuni-o-wą dociągnięcia dymu przez wodę i głośno rozmaw-iali o różnych, nie a nie wspólnego z pogrzebem nie mających rzeczach. Zapach piżma, którym zwy-kle posługują się wszystkie piękności, dym z kaliu-ny, na koniec odór ciała nieboszczyka, wszystko to tworzyło dziwną mieszaninę zapachów, niemiłe drażniącą nerwy. Powodowany ciekawością stłu-miłem w sobie wstępną, jaki uczuwałem i zająwszy miejsce między mężczyznami postanowiłem oczeki-wać końca tego smutnego obrzędu.

U nóg nieboszczyka na niskim taborecie stała wielka drewniana misa, aż po brzegi napełniona go-towanym ryżem i druga gliniana z kwaśnem mle-kiem. Ten lub ów z obecnych przy obchodzie Kir-gizów podchodził do tych potraw i zabrawszy w garść ryżu odchodził napowrót na swoje miejsce, żując go i oblizując się.

Po upływie godziny wyniesiono nieboszczyka i położono go na dworze na wiązki drzewa. Po-stawili przy nim dwóch wartowników z pałkami, żeby psy nie znieważyły ciała w czasie ogólnego spoczynku.

Dla mnie w jednym kącie mieszkania mirzy Ałaja-ra ułożono kilka podwatowanych i w różne desenie upstrzonych kołder, dano dwie okrągłe poduszki i postawiono obok posłania na okrągłej miedzianej podstawie dzbanek z kwaśnem mlekiem i płaskim naczyniem. Widocznie chciano mnie uraczyć i oto-czyć wygodami.

Pragnąłem wyjechać jak najraniej, lecz mnie wstrzymał prośbami swemi, naczelnik Kirgizów do-magając się, abym zjadł koniecznie obiad z jego ro-dziny. Nie chciałem mu odmówić, a prócz tego jak zapewniał mnie mirza Ałajar do Dżyrgały było wszystkich tylko cztery godziny drogi.

Około godziny 11 zrana najadłszy się do syta tłustej baraniny, wyjechałem w towarzystwie syna mirzy Ałajara, chłopca lat około 14 mieć mogącego i czterech kirgizów uzbrojonych szablami. Swita ta z poszanowaniem trzymała się zdala, bacznie śle-dząc i uprzedzając każde moje życzenie, co było bardzo nieprzyjemnem dla mnie, gdyż nigdy w ży-ciu nie przywykłem podróżować z podobnymi cere-moniami. Wedle mojego zdania, jest to bardzo przy-

kre uczucie, gdy się wie, że z tyłu kilka par oczów bacznie śledzi każde nasze poruszenie. Zresztą wi-docznie nie wszyscy są tego samego zdania i pręd-ko do tego się przyzwyczajają, bo przecież wielko-światowe damy jeżdżą na spacer z lokajami przy-branymi w liberyę i weale to ich nie drażni. Mirza Ałajar udzielając mi swiętę na zbyt daleko posunął swą uprzejmość dla rossyjskiego gościa.

Z początku jechaliśmy z biegiem rzeki Tup aż do samego jej ujścia, a potem w dół isyk-kulskiego brzegu zwróciliśmy się w lewo. Droga przez cały ten czas szła przez nadbrzeżną pochyłość, była pra-wie suchą i usianą małemi pstrokatemi kawkami. Z prawej strony pod samym brzegiem ciągnęły się wodne sitowia, to z rzadka, to zgęszczając się w wiel-kie masy, które ukrywały za sobą ciemnobłękitną powierzchnię jeziora. Dwie białe mowy z krzykiem przelatywały nad jeziorem, spuszczając się do samej wody i muskując skrzydłami jej niespokojną po-wierzchnię. Na lewo u podnóża niewysokiego ska-listego urwiska widniały dalekie tumany i krążyły wielkie stada owiec. Śnieg brudnymi massami le-żał pośród sitowia, a po przezeń, nie bacząc, że to było w grudniu, gdzieś w głąbie wychylały główki na powierzchnię ziemi cienkie zielone kielki.

Mirza Ałajar nie mijał się z prawdą, utrzymując, że do zimowych siedzib Ablaja-bija niema więcej nad cztery godziny drogi. W samej rzeczy około godziny 3-ej po południu dostrzegliśmy ostrokre-gowej formy dżyrgalińskie szalasę.

W ogólności Kirgizi nie lubią żyć ciasno w swo-ich aulach. Rzadko napotkać można dziesięć szala-sów jeden obok drugiego, po największej zaś części jedynie po trzy lub cztery. Aule rozrzucone są na olbrzymiej przestrzeni po nad brzegami rzek. Pocóż-by zresztą mieli się ścieśniać w swoich swobodnych koczowiskach. Wielkich pozabawionych prawie zu-pelnie wody, stepach można jeszcze napotkać wiel-kie koczowiska, złożone z 300—400 szalasów, lecz tam jest to koniecznością. Czasami całe jedno po-kolenie Kirgizów musi się zadowalać pięcioma lub sześcioma studniami stepowemi.

Wtedy to wielkie zbiorowisko ludzi rozbija swoje szalasę i stawia baraki, opasując nieprzerwanym pierścieniem jedyne źródło wody.

Gdy się zbliżył do siedzib zamieszkałych, mi-mowoli zwróciłem uwagę na wielkie ogrodzenia z trzeiny wodnej, w których cisnęły się jedna do drugiej i beczwały liczne owce doskonałej rasy kir-gizkiej. Duże, z długą wełnistą szerścią z ciężkie-mi tłustymi ogonami—z których, co najmniej z każ-dego można wytopić pół puda doskonałego tłusz-czu—stanowią one główne źródło bogactwa wszyst-kich koczowników azyatyckich, a w szczególności Kirgizów.

Wielbłądy wiecznie osiodłane, leżały całemi sta-dami, przylutując się jedne do drugich i żując zielo-ną swoją karm. Gdzieś w głąbie widniały niewielkie zastępy mułów, między którymi znajdowały się nie-

które niezwykle wzrostu i jakiegoś dziwnego żół-tawego koloru.

Często spotykaliśmy idących lub jadących na-przeciwko nas Kara-Kirgizów. Zatrzymywali się, z ciekawością spoglądali na przybyłych do siebie gości i potem długo ścigali oczyma nasz zastęp. Niektórzy zwracali się z powrotem z drogi i łącząc się z danymi przez mirzę Ałajara Kirgizami zwię-kszały tym sposobem, moją swiętę, którą wkrótce do-szła do znacznej liczby. Niedługo dojechaliśmy do szalasów Ablaja-bija. Zdaleka jeszcze dostrzegłem grupę szalasów znacznie większych rozmiarów po-nad inne, a pokrytych z zewnątrz doskonałemi bia-łemi wołkami. Tutaj stało kilka osiodłanych ko-ni, a dalej o kroków trzydzięci na czworoboku uło-żonym z kamieni, sterczał pochyło drewniany drag z żelaznym trójzębem na końcu i białym końskim ogonem. Był to buńczuk. W tem miejscu zsiadli-smy z koni. Zaproszono nas, ażebyśmy weszli do szalasów Ablaja-bija, mówiąc: „że mirza Ałajar dał już znać o naszym przybyciu i że dostojny bij z niecierpliwością pragnieć nas jak najprędzej zoba-czyć”.

Wysoki i atletycznej budowy ciała starzec z bia-łą jak śnieg brodą, krótko podstrzyżony, przypomi-nający mi widziany niegdyś portret Henryka IV, z wesołemi energicznymi oczyma i rozumnem obli-czem powitał nas przy wejściu do szalasów. Był to sam Ablaj najpopularniejszy ze wszystkich bijów w okolicach Isyk-Kula.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

Księgarnia Michała Glücksberga
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 7 (411)
otrzymała na skład główny:

TANIE WYDAWNICTWO J. GRAJNERTA

1) Skarbezyk: Wybór powieści i opowiadań

12 tomików, z których już 9 opuściło prasę, naby-wać można za cenę prenumeracyjną rs. 3 w miejscu; pocztą w kraju i zagranicą rs. 4. Ostatnia powieść wyszła p. t.: *Nieomylni*, przekład z francuskiego Bolandena. Tom X niebawem wyjdzie.

2) Poezye liryczne i opisowe J. Grajnerta

wraz z *Bajkami i przypowieściami*, poszytów 4-ry, cena w miejscu rs. 1 k. 15; pocztą rs. 1 k. 30.

OD WYDAWCY.

Dla prenumeratorów pisma „Bluszcz“ z dodatkiem dzieł J. I. Kraszewskiego, dołącza się do nu-meru dzisiejszego, tom LVII ogólnego zbioru, to jest powieść pod tytułem:

„CAŁE ŻYCIE BIEDNA”

Powieści J. I. Kraszewskiego wychodzą tomami, a mianowicie 5—6 tomów kwartalnie. — Prenu-merata wynosi dla prenumerujących *Bluszcz*, kwartalnie Rs 1 kop. 75; — dla nieprenumerujących *Blu-szczu* Rs. 2 kop. 50.

Wydawnictwo to rozpoczęło się z dniem 1 października 1871 r.—Wyszło dotąd tomów pięćdziesiąt siedem.

TREŚĆ: Wiosenne szczęście. (poezya). — **Niewiasta polska**, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcieckiego. — **Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie**, (powieść), przez J. I. Kraszewskiego. — **Kolonista w Irlandyi**, (dramat) przez Pawła Heise. — **Kronika naukowego, artystycznego i prze-mysłowego ruchu kobiet**. — **Zarysy Azji środkowej**, (dalszy ciąg), przez N. Kafazina.